

Trudno uciec od siebie

ALEKSANDER MACHALICA | Aktor Teatru Nowego w Poznaniu opowiada o aktorskim klanie Machaliców, krętych ścieżkach zawodu oraz truciźnie teatru.



JAKUB WITCZEN

♦ **Aleksander Machalica jako Lear w Teatrze Nowym w Poznaniu**

✎: Jest pan synem aktora Henryka Machalicy, bratem aktora Piotra Machalicy, ojcem aktora Adama Machalicy. Aktorski ród Machaliców zaczyna konkurować z klanem Damińskich.

ALEKSANDER MACHALICA: Nigdy tak na to nie patrzyłem, ale jeśli jest to konkurencja, to myślę, że zdrowa. Rzeczywiście tak jakoś wyszło, że ojciec pociągnął nas za sobą, choć z pewnością nie robił tego świadomie. Nigdy niczego nie narzucał i myślę, że nawet był nieco zdziwiony, że zarówno Piotr, jak i ja poszliśmy w jego ślady. Choć zdawaliśmy sobie sprawę, że jeśli życie aktora jest usłane różami, to jest w nim także sporo kolców.

Do kompletu brakowałoby tylko pańskiego brata bliźniaka Krzysztofa Machalicy, który podobnie zresztą jak pan bardzo czynnie uprawiał lekkoatletykę.

Wbrew pozorom Krzysztof daleko od nas nie odskoczył, bo oprócz normalnych zajęć sportowych i pracy samorządowca żyje takim niezależnym nurtem estradowca, artysty zakochanego w piosence literackiej.

Ale jak czytałem, w młodości obaj panowie bardzo intensywnie oddawali się sportowi.

O tak. To była wielka pasja. Najpierw lekkoatletyka, potem koszykówka, i przez lata obaj ze sportem wiązaliśmy przyszłość. Krzysztof był reprezentantem Polski juniorów w koszykówce. Na mistrzostwach Europy jego drużyna zdobyła brązowy medal. Mnie wprawdzie w sporcie aż tak dobrze nie szło, ale to był fantastyczny czas.

Pana droga do teatru wbrew sławnemu ojcu nie była wcale oczywista...

Można nawet powiedzieć, że była kręta, trudna i pod górkę. Zdawałem do szkoły krakowskiej, ale tam jakoś nie wiazało ze mną nadziei i miałem wrażenie, że kwestionują moje prawo do aktorskich marzeń. To mnie jednak zmobilizowało do intensywniejszych starań. Postanowiłem podejść do zawodu praktycznie. Był egzamin eksternistyczny, dyplom, praca w teatrze lalek, a potem teatr dramatyczny.

Geny ojca dały o sobie znać...

Kiedyś nad tym się zastanawiałem. Jeśli ktoś z rodziców uprawia atrakcyjny zawód, taki jak lekarz, inżynier czy artysta, dziecku to niewątpliwie imponuje i często próbuje się z nim zmierzyć. Tak chyba było w naszym przypadku.

Wasz ojciec, będąc aktorem dość zajęty, rzadko bywał w domu, co dodawało wykonywanemu przez niego zawodowi pewnej tajemniczości i magii.

O, z pewnością. Bardzo chcieliśmy rozpoznać te tajemnice. Znaleźć dziesiątki odpowiedzi na szereg pytań, które się z tym zawodem łączą. Były czasy, kiedy częściej mogliśmy oglądać ojca na scenie czy w telewizji niż w domu.

A jak wspomina pan wspólne aktorskie doświadczenie, kiedy wraz z ojcem Henrykiem i bratem Piotrem wystąpiliście w jednym spektaklu?

Zawsze marzyliśmy o tym, by w czymś razem wystąpić. Eugeniusz Korin zaproponował nam „Cenę” Millera, która okazała się bardzo ciekawą przygodą. Możliwością lepszego rozpoznania się w tym zawodzie. Skonfrontowania własnych doświadczeń. Pamiętam, jak w czasie prób, siedząc obok ojca, łapałem się na tym, że mamy podobny rodzaj gestykulacji, podobny sposób wypowiadania słów. O tym podobieństwie słyszałem od dawna, tylko dopiero podczas „Ceny” uświadomiłem to sobie. I pamiętam, że większość prób poświęciłem temu, by z tym walczyć, by „wybić się na niepodległość”. To oczywiście do końca się nie udało, bo trudno przecież uciec od siebie.

To była taka rodzinna psychodrama?

Otóż nie. Zupełnie nie odnosiliśmy się do własnej prywatności, związków rodzinnych. To nie miało dla nas żadnego znaczenia. Mogę zapewnić, że wykazaliśmy się pełnym profesjonalizmem i nie było żadnej taryfy ulgowej z naszej i reżysera strony.

Przez długie lata traktował pan aktorstwo jako zawód wędrowny, przywracając mu niejako pierwotną funkcję. Kiedy trafił pan do Poznania, zmienił pan zdanie?

Kiedy człowiek jest młody i niezależny, ten rodzaj wędrówki jest czymś wspaniałym. Szuka się swojego miejsca, ciekawych ludzi, z którymi warto spędzać czas, porozmawiać o wspólnych pasjach, zainteresowaniach. Potem, jak się pojawia rodzina i dzieci, trzeba przewartościować swoje marzenia. Dzielić się sobą z innymi. Odrzucić ten gombrowiczowski egoizm: poniedziałek – ja, wtorek – ja, środa – ja itp. W moim przypadku ten czas przewartościowań wypadł na Poznań. Był przełom lat 80. i 90., czas Okrągłego Stołu. Rzeczywistość, w której wydawało się, że człowiek będzie osadzony na całe życie, nagle się rozpadła. I w tym rozpadzie chciało się szukać czegoś konkretnego i ważnego. W świecie teatru niewiele było takich miejsc, które liczyły się na mapie kultury. Zadawano wręcz pytania, czy teatr jest potrzebny. Niektóre placówki kultury przeżywały finansowe tarapaty. W tym rozchwianym, trudnym czasie Teatr Nowy w Poznaniu wytrwał w sposób imponujący. Miał swą markę dzięki Izabelli Cywińskiej, ale kiedy objął go Eugeniusz Korin, dał mu pewną stabilizację. Zachował ciągłość teatru poszukującego, a jednocześnie ciekawego dla publiczności, i tak jest dziś za dyrekcji Piotra Kruszczyńskiego.

Odwiedzając Teatr Nowy, mam wrażenie, że to miejsce, którym nie nudzą się zarówno artyści, jak i widzowie.

Dlaczego więc miałem cokolwiek zmieniać. Zwłaszcza że każda dyrekcja wносиła coś nowego. A poza tym ani się człowiek obejrzał, a już zaczyna pukać emerytura.

Długo trzeba było pana namawiać do zagrania Leara w Teatrze Nowym. Tadeusza Łomnickiego przygoda z tą postacią i w tym teatrze przeszła do historii, choć zakończyła się tragicznie.

Obecną przygodę z Learem zaproponował mi młody, obiecujący reżyser. Nie ma więc mowy o żadnej próbie rekonstrukcji tamtego spektaklu, bo czegoś takiego z pewnością bym się nie podjął. Tadeusz Łomnicki był indywidualnością absolutnie nie do podrobienia. Czy emocje były? Oczywiście. Jak zwykle przed premierą.

Pan, podobnie jak ojciec i brat, nie ogranicza się do pracy w filmie i teatrze. Traktujecie ten zawód jak rodzaj misji, podkreślacie w nim magię słowa. Stąd koncerty, audycje literackie.

Nigdy nie traktowaliśmy aktorstwa jak jazdy „od rólki do rólki” czy „od roli do roli”. Zawsze ważny był dla nas kontakt z literaturą i z poezją. Interpretacja ważnych tekstów, próba docierania do nieznanых zakamarków na literackich ścieżkach. A przy okazji kontakt z żywym człowiekiem.

Dyrektor Piotr Kruszczyński jest urodzonym poznaniakiem, tu się wychował, ale z panem było inaczej. Jak odebrał pan tę „poznaność” miasta i mieszkańców.

Kiedy opowiadałem znajomym i rodzinie, że przenoszę się do teatru w Poznaniu, reakcje były różne. Często słyszałem, że stolica Wielkopolski to nie jest miejsce dla teatru, tylko handlu. Że to jest miasto przede wszystkim targów poznańskich. Ale gdy przyjrzałem się temu bliżej, to zauważyłem, że tu sztuka i biznes wchodzi w udany mariaż. Przykładem była choćby działalność Jana Kulczyka, ale nie tylko. W Teatrze Nowym w nowej rzeczywistości polityczno-ekonomicznej pojawiła się Łoża Patronów złożona z ludzi biznesu, którzy postanowili być blisko teatru i wspierać materialnie naszą działalność. Przy tej rezerwie w stosunku do poznaniaków, jako ludzi wyłącznie praktycznych, głównie zainteresowanych robieniem pieniędzy, warto podkreślić, że dla nich kultura zawsze była czymś znaczącym.

Skoro wspominał pan o założonej w Poznaniu rodzinie, to nie sposób pominąć syna Adama, który najwyraźniej polknął aktorskiego bakcyła, po ojcu i dziadku...

(śmiech) To są właśnie te truciźnie, które wsączamy bliskim często poza własną i ich świadomością. Dla Adama, podobnie zresztą jak dla mnie, aktorstwo nie było czymś oczywistym. Najlepszym dowodem jest to, że cztery lata spędził na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, studiując socjologię. Okazało się jednak, że to nie to, że musi spróbować aktorstwa. Studiował z wielką determinacją, bo szybko okazało się, że to jego pasja, właśnie zrobił dyplom. Widzę, że ten zawód sprawia mu wielką frajdę. I oby tak było dalej... ©

—rozmawiał Jan Bończa-Szałowski